Rok XXXVII Niedziela 9 marca 1930 Należytość pocztową opłacono ryczałtem. Nr. 10

GAZETA KOŚCIELNA

TYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KOŚCIELNYM

Prenumerata: Całoroczna 20 zł., kwartalna 5 zł. Zagranicą 25 zł. Numer poj. 40 gr.
Cena ogłoszeń: Cała strona 110 zł., drobne po 60 gr. od wiersza petitu.

ORGAN STOWARZYSZEŃ KAPŁAŃSKICH W POLSCE.
Własność Tow. Wzajemnej Pomocy Kapłanów we Lwowie.
Redagują:
X. Dr. Aleksander Pechnik i X. Franciszek Błotnicki.

Redakcja i Administracja: ul. Ormiańska 13 Tel. 24-61.
Konto czekowe P. K. O. Warszawa Nr. 151.755
Rękopisów nie zwraca się.

Treść: Naokoło X. prefekta. — W sprawie ciągle aktualnej. — O rabunkowej gospodarce w dziedzinie naszego zdrowia. Casus conscientiae. — Powszechny Związek Kapłański Najśw. Serca Pana Jezusa. — Curiosum. — Nekrologja: Ś. p. O. Jan Nikiel. — Fejleton: W katakumbach Aleksandrji i w ZiemiŚwiętej (c. d.) — Sprawy religijne. — Z piśmiennictwa. Wiadomości diecezjalne.

Naokoło X. prefekta.

Gdy się czyta spokojnie artykuł X. Lorensa p. t. „Dach się nam pali nad głowami“ w „Gazecie Kościelnej“ z 23. II. b. r., musi się stwierdzić, że narzuca on — bez ogródek — tym, co pisali w poprzednich artykułach na temat: prefekt czy katecheta, „manję popisywania się stylistyką“, „bawienie się w grę słów“, „głowienie się nad tytułem księdza szkolnego“ — z zaniedbaniem zagadnienia: co czynić, by zapewnić wpływ religji na szkołę. Ton, w jaki uderza gdzie niegdzie X. Lorens we wspomnianym artykule, trzeba uznać co najmniej za ryzykowny. jeśli np. pisze, że „w większości wypadków poza swoim charakterem kapłańskim nie mamy czem tak dalece gronom nauczycielskim w szkole imponować“. W większości wypadków jest przecież inaczej [1]).

Gdy się czyta spokojnie artykuły zaatakowane przez X. Lorensa (t. zn. „Na marginesie lwowskich „Spraw Duszpasterskich“ z 19. I. b. r. i „Proboszcz szkolny“ z 2. II. b. r.). musimy stwierdzić, że nie było w nich ani trochę manji popisywania się stylistyką czy bawienia w grę słów pod płonącym dachem. Owszem czytamy tam wyraźnie, że „nazwy są zjawiskami płynnemi i podlegającemi zmianom na podstawie wzajemnej umowy“ — bez cienia jakiegoś „manjactwa“ czy „głowienia się“.

Uważam. że dla szerszego ogółu dobrze się stało. gdy Czcigodna Redakcja „Gazety Kościelnej“ zamieściła oba wywody na temat: X. prefekt czy X. katecheta, bo wielu po raz pierwszy zastanowiło się nad genezą tej czy innej nazwy, nad celowością przyjętej nomenklatury, a wreszcie ten i ów — na podstawie zacytowanych dekretów — zapoznał się z tem, co zowiemy faktyczny i prawny status quaestionis w tej materji.

Że dobrze się stało, za skromny dowód mogłaby posłużyć korespondencja prywatna, wywołana dyskusją. Ponieważ chodzi o korespondencję prywatną, nie mogę jej tu cytować, chociaż były interesujące listy ze Lwowa. Krakowa. Jest dobrze, gdy Redakcja czasopisma zamieszcza publikacje, które pobudzają do wymiany myśli, a nawet korespondencji między współpracownikami i czytelnikami. Widać, że Redakcja umie wyczuć rumieniec aktualności i jego znaczenie.

A teraz, gdy chodzi o samą nazwę księdza, uczącego w szkole, to nie możemy sobie lekceważyć pewnych zgóry planowanych pociągnięć w tym kierunku.

Słusznie zauważają — i rodzice szczerze katoliccy, że zdegradowawszy księdza do roli nauczyciela religji łatwo było niechętnym czynnikom wyperswadować: usunięcie podpisu kapłana - wychowawcy ze świadectw szkolnych (w szkole powszechnej), — zmniejszanie liczby godzin nauki religji, — znoszenie etatów duszpasterzy szkolnych w pewnych miejscowościach i t. p. Postępowano jak z każdym innym nauczycielem.

I stąd to płynie konieczność domagania się pewnych prerogatyw dla kapłana na terenie szkolnym. prerogatyw usprawiedliwionych specjalnem stanowiskiem nauczania i wychowania religijnego w całokształcie pracy szkolnej, znaczeniem dziejowem Kościoła katolickiego w Polsce, tego Kościoła. którego reprezentantami jesteśmy na terenie szkoły, — i charakterem duszpasterskim naszym (choćby tylko wobec młodzieży uczącej się). Roszczenie sobie tych prerogatyw nie uczyni nas ani „śmiesznymi“ ani „nieznośnymi“ wobec gron nauczycielskich jak się obawia X. Lorens. Może tak te nasze pretensje oceniają lewicujący nauczyciele ze Związku Naucz. Szk. Powsz. lub Zaw. Związku Naucz. Szk. Śred., ale my je podkreślamy z zasadniczego punktu widzenia. sięgającego podstaw naszego odrębnego stanowiska wobec młodzieży. której jakimiś proboszczami wkońcu jesteśmy, choćbyśmy się proboszczami szkolnymi nigdy nie nazywali.

Dobrzeby było (śmiem dodać uprzejmie) w dyskusjach naszych trzymać się tekstu, cytować dosłownie zaczepione argumenty i nie do-

[1]) Artykuł X. Lorensa zamieściliśmy jako jeden z głosów w dyskusji, nie biorąc odpowiedzialności za jego wywody, sami uważamy też twierdzenie X. Lorensa co najmniej jako zbyt „śmiałe“. — *Dop. Red.*

myślać się i nie podpowiadać autorom artykułów swych własnych domysłów. Wtedy dyskusja będzie naprawdę rzeczową i owocną.

X. Henryk Weryński.

W sprawie ciągle aktualnej[1]).

W lwowskiej „Gazecie Kościelnej“ X. F. Błotnicki porusza w artykule polemicznym sprawę, która, mimo wielokrotnych podejmowań, spadała ciągle z wokandy opinji publicznej — typu pisma katolickiego. Autor zatrzymuje się w pierwszym rzędzie nad zagadnieniem pisma ludowego, przyczem dochodzi do wniosku, że dyskusja na ten temat jest łatwiejszą, niż dyskusja na temat pisma katolickiego, przeznaczonego dla sfer inteligentnych.

Przedewszystkiem należy z całem uznaniem podnieść głos, który porusza sprawę aktualną, niezmiernie doniosłą i niedopowiedzianą. Parokrotnie byłem osobiście na konferencjach, dotyczących prasy katolickiej, słyszałem gorące, przepojone szczerym entuzjazmem głosy, konkretyzacja jednak myśli natrafiała i natrafia na przeszkody, leżące może nie w polu działania projektodawców, ile raczej, mam to głębokie wrażenie, w społeczeństwie. Nie chcę jednak odbiegać od tematu i wracam do artykułu autora z „Gazety Kościelnej“.

Godząc się w całokształcie wywodów na twierdzenia odnośnie prasy o typie wyraźnie katolickim, nie mogę się zgodzić z poglądem, iż zagadnienie prasy ludowej jest łatwiejsze do rozwiązania, jak to samo zagadnienie w ujęciu pisma, przeznaczonego dla szerokich mas inteligencji. Kto zna i obserwuje wieś, ten wie doskonale, że nigdzie może w okresie powojennym nie nastąpiły tak głębokie przemiany psychiczne, jak wśród mas ludowych. Zjawisko to jest o tyle naturalne, że wojna wyemancypowała olbrzymie masy ludności nazewnątrz, na wszystkie nieomal fronty świata, przekształciła gwałtownemi wstrząsami zbiorową duszę ludu na nice i nieprzygotowany do tej zbyt silnej dawki organizm społeczny, popchnęła gwałtownie w zupełnie nowe warunki polityczne i społeczne.

Nowy, nieznany dla mas ludowych ustrój państwowy, dający im prawo współdziałania i współżycia politycznego, wytworzył nowe horyzonty, które dla działaczy politycznych stanowiły pierwszorzędne walory w sensie przeciągnięcia biernych dotychczas i nie orjentujących się mas ludowych na tę lub inną stronę. Rozpoczęła się zajadła, zapamiętała gra o wpływy, o duszę, o głosy chłopskie. Bez opamiętania poczęto zastrzykiwać dawki takiej kokainy politycznej, iż wreszcie znarkotyzowano masy ludowe, rozpalono w nich ambicje nietyle, co z naciskiem podkreślamy, polityczne, ile partyjne.

Ten stan rzeczy, jaki istnieje w chwili obecnej na wsi, jest dla orjentujących się głębiej stanem wyraźnego niebezpieczeństwa, grożącego w najlepszym razie kompletną dezorganizacją myślową, chaosem, zamętem pojęć, z jakiego oczywiście będą korzystali i korzystają ci, którzy hołdują zasadzie, iż najskuteczniej ryby łowi się w mętnej wodzie.

To jest ogólny stan rzeczy. Atak demagogji i grubego „fornalskiego“ radykalizmu trwa i operuje hasłami co najbardziej jaskrawemi, oślepiającemi trzaskiem frazesów i obietnic. Kultura, ta kultura nie od zewnątrz, ale ta, nakładająca się

[1]) Zamieszczając z przyjemnością powyższe (ogłoszone w „Polsce“), głęboko ujęte uwagi na temat pisma ludowego, zaznaczamy jednak zarazem, że nasze określenie, iż dyskusja na temat pisma ludowego jest łatwiejszą, niż na temat tygodnika dla inteligencji, należy rozumieć warunkowo. Nie chodzi tu o zagadnienie jako takie wogóle, lecz odnośnie do dyskusji rozpoczętej na łamach „Gazety Kościelnej“. Autorzy artykułów o potrzebie tygodnika ludowego wiedzieli, czego chcą, tylko sprzeczali się o to, jak to uczynić, autorzy natomiast artykułów o potrzebie pisma dla inteligencji niejasno ujęli „status quaestionis“, dlatego też trudniej mi było z nimi dyskutować. *X. F. B.*

W katakumbach Aleksandrji i w Ziemi Świętej.

(Ciąg dalszy.)

Wchodzimy do wnętrza pięknie i gustownie urządzonych apartamentów, ale ponieważ zdają sobie wszyscy sprawę, że czas nasz jest zbyt ograniczony, nie zatrzymują nas dłużej, lecz poprzestają na poczęstowaniu nas (znowu) oryginalną kawą turecką i wkrótce już żegnamy się, przyczem gorąco zapraszają mnie po południu na obiad do siebie. Obiecuję — i za chwilę siedzimy już w aucie i stosownie do poprzedniej umowy pędzimy wprost do meczetu („Hagia Zofja“) „AYASOFYA“, który ma być najciekawszy ze wszystkich. Tymczasem przyłączył się do nas trzeci socjusz, brat owego Greka, który mówił biegle po francusku, jako też po rosyjsku, bowiem kilka lat spędził przed wojną w Odesie. W czasie jazdy przysłuchuję się z ciekawością ich rozmowie po grecku i tutaj po raz pierwszy stwierdziłem, że istnieje jednak wielka różnica między językiem greckim nowoczesnym a językiem klasycznym, którego nas uczono w gimnazjum. Piąte przez dziesiąte zdołałem zaledwie pochwycić z ich rozmowy, prowadzonej z iście wschodnim temperamentem i szybkością.

Po pewnym czasie zatrzymujemy się przed monumentalnym gmachem z olbrzymią kopułą, z którego boków wystrzelają 4 spiczaste wieże minaretów. Grecy mówią mi, że jest to dawna bazylika św. Zofji, wzniesiona przez cesarza Justynjana w roku 532. Cała świątynia zbudowana w stylu bizantyńskim w kształcie greckiego krzyża i pomimo zmiany w r. 1453 na meczet turecki, charakterystyczne cechy budowli chrześcijańskiej widoczne są na każdym kroku i pozostaną na zawsze niezatarte.

Wchodzimy do głównych drzwi i tutaj zatrzymuje nas „kościelny turecki“, przypominając, że stosownie do przepisów Koranu, nie wolno wchodzić w obuwiu do wnętrza meczetu.

Możemy jednak wypożyczyć pantofle (naturalnie za bakczysz), które wkładając na buciki, zadośćuczynimy w zupełności przepisowi Mahometa.

Jesteśmy posłuszni — i po chwili posuwamy się już cicho do wnętrza dawnej bazyliki.

systematycznemi warstwami w duszach i mózgach ludzkich na wsi — powiedzmy to sobie szczerze — nie przejawia się jeszcze bynajmniej w szybkiem i gruntownem tempie.

I oto w tych warunkach na wieś polską rozpływają się setki i tysiące pism ludowych. Istotnie, są one, wedle twierdzenia autora zacytowanego powyżej artykułu, dwojakiego typu: albo o wyraźnem zabarwieniu politycznem, a raczej powiedzmy partyjnem, albo też, jak przyznaje to sam X. red. Błotnicki, niepartyjne, lecz zbyt jednostronne, nie rozszerzające sfery swych zagadnień na horyzonty żywe i dalsze, lub też wreszcie idealne, nie zwiazane z aktualnością, biegiem i formą życia.

Żaden z tych typów nie jest oczywiście doskonały, a już, powiedzmy to wyraźnie, pisma *par excellence* polityczno-partyjne, wyraźnie szkodliwe, wnoszące w masy ludowe jad nienawiści stronniczej. A tych, trzeba to stwierdzić, jest większość.

Godząc się przeto na tezę, że jedynie w tych warunkach typem prawdziwie pożytecznego pisma może być tylko organ, pozbawiony naleciałości partyjnych, względów stronniczych i maskowanych celów przetasowania mas ludowych na wygodną grę polityczną, nie mogę, jak powiedziałem zgodzić się z szanow. autorem, ażeby zagadnienie owego, jeśli już nie idealnego, to przynajmniej zbliżonego do tego typu pisma było łatwiejsze jak problem organu dla inteligencji polskiej. Ostatnie lata przyniosły nam wprawdzie nieliczne, ale jednak coraz głębiej wżerające się w społeczeństwo typy pism katolickich zarówno tygodniowych jak i codziennych. W sferach prasy ludowej dotychczas tego nie widzę. Psychika zbiorowego człowieka wsi rozbita, puszczona na ślepe tory, podekscytowana wymaga niezmiernie ostrożnego działania, stosowania tego antidotum, któreby z organizmu, przepojonego ową radykalno-partyjną demagogją, skutecznie wyeliminowało truciznę, jaką sączono i sączy się w dalszym ciągu.

Wieś zrażona jest i nieufna do słowa drukowanego: nieobce są wszak fakty, kiedy to, bez przesady, zarzuca się wieś dla agitacji i propagandy tysiącami egzemplarzy tygodników ludowych, będących niczem innem jak literaturą agitacyjną.

Chłop ma dosyć tego drukowanego słowa, którego zgoła nie czytając, rzuca na podpałkę do pieca i tem się też właśnie tłumaczy stosunkowo niewielka poczytność pism ludowych w Polsce. Dość przejrzeć statystykę prasy ludowej niemieckiej, duńskiej czy czeskiej, aby przekonać się, jakie szalone różnice dzielą nas od tych imponujących liczb, jakiemi wykazuje się prasa ludowa na zachodzie Europy.

Myślę, że ten stan rzeczy zmieni się nie wtenczas, kiedy pismu odbierze się charakter polityczny, ale przedewszystkiem wówczas, kiedy odbierze się charakter grubego, szytego najordynarniejszym ściegiem partyjnictwa stronniczości, posmaku licytowania się o zbiorową siłę i wpływ mas ludowych.

Zagadnienie społeczne w sensie państwowo-narodowym, tak obce dzisiaj w prasie ludowej, musi się stać czynnikiem, który będzie wnosił głębszą i trwalszą kulturę, opartą o ideę katolicką wśród szeregi czytelników wiejskich. Nie można w masach ludowych wytwarzać przekonania, iż poza wsią świat już nie istnieje, iż poza zagadnieniami ściśle gospodarczemu niema już innych spraw, które nie miałyby obchodzić ich i interesować, przeciwnie, trzeba wyrabiać stale i systematycznie przekonanie, że Polska posiada rozliczne i tak doniosłe zagadnienia, jakie dla każdego dobrego obywatela, czy będzie on z Zalesia, Krakowa czy Wilna, nie mogą być obce i obojętne.

A tego tonu społecznego, ujętego oczywiście w formę najbardziej przystępną i popularną w pra-

---

Przedewszystkiem uderza mnie na wstępie widok wspaniałych odrzwi, wykonanych z bronzu i z marmuru, posadzka zaś aż lśni się przepyszną mozajką z porfiru.

Grecy pouczają mnie o olbrzymich wprost rozmiarach dawnej bazyliki św. Zofji. I tak — kopuła wzniesiona jest na 51 m ponad posadzkę, wsparta zaś jest na 4 filarach przy średnicy 31 m. Sama kopuła spoczywa na kole, do którego sklepienie przechodzi z kwadratu zapomocą czterech trójkątów wklęsłych, zwanych żaglami. Dalej kopuła ta ma przed sobą i za sobą półkopuły, przez co nawa główna wydłużyła się znacznie, a tak założenie bizantyńskie połączono z charakterem bazylik staro-chrześcijańskich.

Przeszło sto filarów wznosi się w świątyni: niektóre porfirowe zostały przywiezione ze świątyni słońca w Baalbeku, inne znowu, z zielonego kamienia, pochodzą ze świątyni Diany w Efezie. Ściany wewnątrz jaśnieją całym przepychem i świetnością kolorów, w niektórych tylko miejscach oszpecone są olbrzymiemi plamami czarnych tablic, zawierającemi ważniejsze wyjątki z Koranu. Mozaiki ponad gzymsem są przeważnie na tle złotem. Tło szczerozłote mają również nałęcza i sklepienia. Niestety większa część tych wprost nieocenionych mozaik, jak mię informują Grecy, została barbarzyńsko zeszpecona przez Turków, — dostawszy bowiem kościół w swe posiadanie w XV wieku, dla zatarcia w nim śladów kultury chrześcijańskiej — powlekli miejscami te bezcenne skarby sztuki — białym tynkiem!...

Całość jednak obecnego meczetu, pomimo tych licznych oszpeceń, tak się wspaniale przedstawia, wszystko tchnie w nim taką harmonją i symetrją, że długo oczu oderwać nie mogłem od tych arcydzieł sztuki. Na odchodnem postanowiłem utrwalić to wszystko na płycie fotograficznej; w jednej chwili aparat był już gotów do zdjęcia, ale skoro Grecy zauważyli moje przygotowania, zaniepokojeni uprzedzają mnie, że fotografowanie wnętrz meczetów jest surowo wzbronione, więc jeżeli nie chcę utracić aparatu, radzą mi natychmiast go zamknąć. Niestety było już za późno — w tej chwili jakby z pod ziemi wyrósł, stanął przede mną wysoki drab bosy i domaga się groźnie ode mnie aparatu, sięgając poń swoją olbrzymią łapą. Żal mi się zrobiło — nie tak aparatu — jak tego ostatniego zdjęcia, które z wielką emocją przed chwilą udało mi

sie ludowej poza ułamkowemi wyjątkami, nie widzę.

Jak wywołać te zainteresowania, jakiemi drogami trafić do duszy i głowy ludu, jak przetoczyć go z szyn rozhuśtanej partyjnej demagogii oto zagadnienia pierwszorzędnej wagi, nad któremi powinna potoczyć się dyskusja rozważna, spokojna i głęboka, a zapoczątkowana tak pożytecznie w „Gazecie Kościelnej“.

Szczerze i głęboko rad byłbym, gdyby głos X. red. Błotnickiego wywołał oddźwięk wśród tych, dla których sprawa ludowa nie z powierzchownego ujęcia, ale z istoty swej doniosłości nie jest obcą i obojętną.

Czesław Xawery Jankowski.

O rabunkowej gospodarce w dziedzinie naszego zdrowia.

Był czas, kiedy także u nas dość licznych miał odbiorców ciekawy, a pod niejednym względem także pożyteczny „Korrespondenzblatt für den katholischen Klerus“. Dzisiaj prawdopodobnie już jest wśród nas mniej takich, którzy to pismo czytują. Śmiem tedy spodziewać się, że tym P. T. Konfratrom, którzy go nie czytają, oddam niejaką przysługę, dając do naszej „Gazety Kościelnej“ przekład artykułu, który się tam pojawił w najnowszym numerze, a który dotyczy sprawy, mojem zdaniem wcale aktualnej.

Nasamprzód „Korrespondenzblatt“ przypomina, że znany prawdopodobnie także u nas jako producent pewnego lekarstwa odczyszczającego krew i wielki opiekun ubogiej dziatwy, X. Prałat Józef Hausle w Feldkirch z okazji rekolekcyj kapłańskich w Maria Stein w jednym z poprzednich numerów tego pisma poruszył sprawę b i n o w a n i a n a c z c z o i że otrzymał z kół duchowieństwa wiele wyrazów uznania. Jeden z księży tak pisał do X. Prałata: „Wskutek przepracowania w niedziele czuję wyraźnie niedomagania serca: praca w niedziele i święta wyczerpuje mnie doszczętnie. Dotąd nie zdobyłem się na odwagę, żeby to podać do wiadomości naszej Władzy. A przecież kto wie, czy duszpasterz nie byłby się powstrzymał od niejednego przykrego słowa na ambonie, gdyby nie był fizycznie przemęczony. Dałby Bóg, żeby naprawdę nastąpiły pewne ulgi dla binujących. Z wdzięcznem pozdrowieniem w miłości Chrystusa Pana! Jeden z tych, co zawsze binuje i prawie zawsze ma dwa kazania na czczo, a po południu także musi przemawiać“.

X. Prałat pisze w dalszym ciągu, że pewien biskup proboszczowi, który co niedziela musi binować, przysłał surowy nakaz, żeby po pierwszej Mszy św. napił się trochę mleka lub kawy. Podobno nakazem tym księża byli bardzo zbudowani i pokochali owego biskupa jeszcze bardziej.

Nadto X. biskup dr. G. Schmid w Chur w trosce o zdrowie księży wyrobił w Rzymie pozwolenie, mocą którego każdy kapłan, który musi binować w Zurychu, bez osobnej dyspensy ze strony ordynarjatu może się napić kawy, czekolady, mleka lub rosołu.

Inny korespondent — niewymieniony po nazwisku — pod nagłówkiem: „Brak księży i binacja“ tak pisze: „Kto sam musi binować w każdą niedzielę, ten powie, że X. Prałat Hausle ma zupełną rację. Duszpasterz, który najpierw wczas rano przez pół godziny albo całą godzinę słuchał spowiedzi, potem przez pół godziny stał na ambonie, a przez następne pół godziny znowu przy ołtarzu, następnie może miał do załatwienia sprawy kancelaryjne, z powodu niedzieli nawet liczniejsze, potem zaś podczas co najwyżej godzinnej i niewątpliwie przerywanej pauzy miał odmówić brewjarz albo myśleć o drugiem kazaniu, które go czekało, a wkońcu musiał odprawiać nabożeństwo, które trwało co najmniej pełną godzinę, — duszpasterz taki niezawodnie wnet odczuje

---

się jednak zrobić. Wtem nagle przychodzi mi na myśl magiczny wpływ „bakczyszu“ na psychikę muzułmanów. Postanawiam zeń skorzystać. Momentalnie wyjmuję z kieszeni pół funta tur., wtykam go w wyciągniętą kurczowo łapę „zakrystjanina“, wymawiając równocześnie jedyne słowo tureckie, jakiego dotychczas zdołałem się nauczyć w Stambule: „bakczysz“ — i nie zawiodłem się — „zakrystjanin“ uśmiechnął się, cofnął łapę z „bakczyszem“ i jakgdyby przed chwilą nic się nie stało, podreptał „na bosaki“ w głąb meczetu. Ja zaś, zachęcony jego czołobitnością dla „bakczyszu“, otwieram ponownie kamerę i dla wynagrodzenia sobie emocji, jaką przed chwilą z jego przyczyny przeszedłem, robię spokojnie jeszcze jedno zdjęcie: przeciwnej strony meczetu. Po „uporaniu się“ z fotografją wychodzimy zadowoleni i zaraz na stopniach opada nas cała zgraja wychudzonej dzieciarni, z wrzaskiem i piskiem wołająca na całe gardło: „bakczysz, effendi, bakczysz!“ — przyczem ręce ich chwytają nas za nogi, ciągną za bluzy i rękawy, niektóre zaś z nich przypadają do naszych stóp i oczyszczają je szybko z kurzu swojemi sukienkami. Zdziwiony tem ogromnie, zapytuję Greków, dlaczego specjalnie mnie najbardziej „atakują“ te dzieci? Odpowiadają, że niektóre z nich były wewnątrz meczetu i podpatrzyli widocznie scenę z tym „zakrystjaninem“, któremu tak „samorzutnie“ ofiarowałem znaczniejszy „bakczysz“. Obecnie zaś domagają się tego samego dla siebie, pomimo, że niczem sobie na to nie zasłużyli; no — bo to już leży w naturze muzułmanina, począwszy od najmłodszych lat, ażeby od każdego przybysza z Europy domagać się bakczyszu, jako należącego mu się słusznie podarunku. A no — nie było innej rady — trzeba było się okupić tej hałastrze — wyciągam garść miedziaków i rzucam je w środek dzieciarni. Korzystając zaś z zamieszania, jakie powstało między niemi przy zbieraniu toczących się po ziemi miedziaków, wsiadamy do samochodu i po chwili mkniemy już do położonego opodal muzeum wojskowego.

(C. d. n.) *X. W. Sz.*

na sobie całkiem zrozumiałe, a wcale niewesołe skutki takiego szafowania siłami. Przekona się on niebawem, że zaraz przy odprawianiu drugiego nabożeństwa nie czuje się tak świeżym i rześkim jak rano i że ciału, nie pokrzepionemu pokarmem, zaczyna niedostawać czegoś, a skutkiem tego zjawia się uczucie, które najlepiej określić wyrazem „zbity“, a które sprawia, że się czynności święte wykonuje raczej mechanicznie, a nawet do obiadu zasiada się już potem bez apetytu. A duszpasterz idealny i sumienny, dla którego życzenia władzy są rozkazami, niewątpliwie niedługo po obiedzie zaraz znowu zjawi się na posterunku, żeby odbyć katechizację, odprawić nieszpory, pójść do stowarzyszenia i t. d. Jeżeli się to wszystko robi co niedziela i święto przez szereg lat zrzędu, nie może to nie pociągnąć za sobą jak najfatalniejszych skutków, zasługuje w całej pełni na nazwę r a b u n k o w e j g o s p o d a r k i z e z d r o w i e m i ż y c i e m księdza i w następstwie przyczynia się także do niepokojącego b r a k u k s i ę ż y.

Wobec tego godzi się zadać sobie pytanie, czyby nie należało zwrócić się z prośbą do Ojca św. o pewne ulgi co do jejunium przed Mszą św. dla kapłanów binujących?

Zresztą także inna reforma jejunii naturalis byłaby równie wskazana, nietylko dla binujących, lecz także dla wszystkich celebrujących kapłanów. Bardzo często bowiem duszpasterz zmuszony jest nietylko do binowania w niedziele i święta, lecz także do odprawiania w dni powszednie Mszy św. o godzinie bardzo późnej, tak, że dopiero o 12 lub 1-szej może myśleć o „śniadaniu“. A przecież zwłaszcza w takich wypadkach trzeba przedtem spełnić całe mnóstwo wyczerpujących obowiązków, jako to nauka religji w szkole, jazda do chorego i t. p., a gdy się te czynności spełnia na czczo, wtedy nietylko nie należy to do przyjemności, lecz odbija się także niekorzystnie na zdrowiu.

Temu należałoby zapobiec. Czyżby nie dało się ustanowić, że przed każdą Mszą św. jejunium naturale winno trwać tyle a tyle godzin, żeby została wykluczona konieczność pozostawania na czczo przez dziesięć i więcej godzin i spełniania na czczo niełatwych obowiązków? S k o r o p r z e d M s z ą ś w., o d p r a w i a n ą w c z e s n y m r a n k i e m, w y s t a r c z y b y ć n a c z c z o p r z e z c z t e r y g o d z i n y, t o d l a c z e g o t e n c z a s n i e m i a ł b y w y s t a r c z a ć p r z e d M s z ą ś w. o d p r a w i o n ą o k o ł o p o ł u d n i a? Co jest dozwolone z okazji „Pasterki“, toby przecież mogło być dozwolone przy innych sposobnościach i w inne dni. Tyle się dzisiaj mówi i pisze o tem, że duszpasterstwo potrzebuje nowych środków i sposobów pracy. I słusznie. A jeżeli tak, to czy także pewna zmiana przepisów w sprawie jejunium naturale dla kapłanów binujących i celebrujących w godzinach późniejszych, nie mogłaby być zaliczona do tych właśnie nowych środków i sposobów? Zdaje się, że gdyby tę reformę przeprowadzono, to byliby za nią wdzięczni nietylko księża, lecz także — wierni [1]).

X. Jan Korzonkiewicz.

[1]) Por. art. p. n. „W sprawie dyspensy od postu eucharystycznego dla kapłanów celebrujących“, zamieszczony w „Gaz. Kość.“ z r. 1927 (str. 528 n.). *Dop. redakcji.*

Casus conscientiae.

Restytucja stypendjów mszalnych.

Pewien kapłan, zanadto przywiązany do pieniędzy, przekroczył także nieraz przepisy Kościoła, dotyczące stypendjów mszalnych. Przyjmował bowiem stypendja za msze binowane i przywłaszczał je sobie; żądał za msze, szczególnie przy ślubach i pogrzebach parafjan bogatych, wyższego stypendjum, niż na to pozwalała taksa diecezjalna; nieraz też, odstępując stypendjów innym, zatrzymywał sobie bezprawnie część kwoty otrzymanej, a także kilkakrotnie odprawił za kilka stypendjów jedną tylko mszę. Otóż przy dobrej spowiedzi rekolekcyjnej oskarża się z tego bardzo skruszony i prosi spowiednika, żeby mu pozwolił, j e ż e l i jest obowiązany do restytucji, użyć tych pieniędzy na pewien cel dobry, a mianowicie na odnowienie swego kościoła, który tego potrzebuje koniecznie. Spowiednik więc rozważa, do jakiej restytucji ma go zobowiązać.

Ale najpierw nasuwa tu się pytanie, o i l e ten penitent obowiązany jest do restytucji? On przyjmował stypendja za msze binowane, na co nie pozwala prawo kościelne, z wyjątkiem trzech mszy w dniu Bożego Narodzenia (por. can. 824, § 2) i nie mówiąc o indulcie, otrzymanym przez niektóre diecezje na przyjmowanie stypendjów za msze binowane na pewien cel dobry (np. na potrzeby seminarjum). Ale czy teraz penitent jest obowiązany do restytucji tych stypendjów? Noldin odpowiada na to twierdząco, bo według niego niema tytułu prawnego do zatrzymania stypendjum („de Sacramentis“ 18 n. 209). Ale tę rację można zakwestjonować: bo wszakże ci, za których odprawia się msza binowana, mają z niej tę samą korzyść, jaką mieliby z innej mszy, odprawionej na ich intencję, więc dawcom stypendjów nie wyrządzono żadnej krzywdy. — Wprawdzie Kościół zakazał pod grzechem ciężkim przyjmować stypendja za msze binowane, ale z tego nie wynika, że wtedy msza przestaje być ważną i że tem samem dawca stypendjum doznaje krzywdy, za którą należy mu się wynagrodzenie.

Ale przeciw zatrzymaniu takiego stypendjum można jeszcze inny podnieść zarzut: oto według nauki moralistów Kościół zabronił przyjmowania stypendjum za mszę binowaną, ażeby usunąć niebezpieczeństwo s y m o n j i: jeżeli więc kto przekroczy ten zakaz, wtedy grzeszy symfoną przeciw czci Bogu należnej. Kanon zaś 729 orzeka, że wszelkie umowy symonistyczne są nieważne i że rzecz otrzymaną w taki sposób trzeba oddać jeszcze przed wyrokiem sądowym, jeśli to możliwe. Ale pomimo to nie można jeszcze na tej podstawie zobowiązywać każdego do zwrotu stypendjum za mszę binowaną. Bo najpierw może zajść wypadek taki, że kapłan, przyjmując stypendjum, nie myślał jeszcze wtedy wcale o odprawieniu za nie mszy binowanej, a jeśli nie miał tego zamiaru, więc nie było umowy symonistycznej. Zgrzeszył wprawdzie potem ciężko symonją, gdy mszę odprawił, ale przez to msza nie stała się nieważną. Chociażby jednak nawet w chwili przyjęcia stypendjum zamierzał za nie odprawić mszę binowaną i zamiar ten wyraził,

to przecież nie można go w praktyce, jak się zdaje, zobowiązać z wszelką pewnością do restytucji (chociażby ten wniosek nasunęła komuś teorja): ponieważ bowiem owoce mszy odprawionej nie mogą być dawcy stypendjum odebrane, więc sądzi Vermeersch („Epitome“ II, n. 13), że nie można orzec z pewnością, iż Kościół obowiązuje w takim wypadku do restytucji stypendjum.

Kapłan ten żądał także przy ślubach i pogrzebach wyższego stypendjum, niż mu się należało: przez to zgrzeszył przeciw sprawiedliwości, bo wierni mają ścisłe prawo, żeby nie żądano od nich więcej, niż pozwala taksa diecezjalna (can. 831), a ponieważ zaszło naruszenie sprawiedliwości, więc kapłan obowiązany jest do restytucji.

Dalej kapłan zatrzymywał sobie coś ze stypendjów mszalnych, kiedy je odstępował innym. Na to zaś pozwala can. 840 (§ 1) tylko w tym razie, jeżeli dający stypendjum zgadza się na to wyraźnie, albo jeżeli jest rzeczą pewną, że to, co dano ponad taksę diecezjalną, dano ze względu na otrzymującego stypendjum, jeżeli np. dawca chciał okazać się wdzięcznym za wielką jakąś uczynioną mu przysługę. Rozumie się też samo przez się, że jest to dozwolone, kiedy ten, któremu odstępuje się stypendjum, zgadza się dobrowolnie na to, żeby mu wręczono tylko pewną część tegoż; jest to podarunek dany pośrednikowi. Pominąwszy jednak te wyjątkowe wypadki, ksiądz obowiązany jest do restytucji, jeżeli coś zatrzymał dla siebie, bo naruszył prawo, które miał drugi kapłan na podstawie can. 840, t. j. żeby mu przysłano całe stypendjum.

Wreszcie zdarzyło się także kilka razy, że ksiądz odprawił tylko jedną mszę za kilka stypendjów. Tu możnaby najpierw przypomnieć zdanie kilku autorów, że jakakolwiek jest ilość osób, za które mszę się odprawia, każdej z nich dostaje się w udziale tyle owoców, jakgdyby odprawiono ją za każdą zosobna. Ponieważ więc według tych autorów praktyka kapłana nie wyrządziła wtedy szkody nikomu, więc mógłby komuś nasunąć się wniosek, że kapłan, o którym mowa, nie jest obowiązany do restytucji. Ale to byłby wniosek błędny: po pierwsze bowiem zdanie przytoczone wcale nie jest pewne[1]), a po drugie, chociażby było pewne, to trzeba uwzględnić fakt, że według can. 828 mają wierni ścisłe prawo do żądania, żeby tyle odprawiono mszy, ile przyjęto stypendjów, chociażby były najmniejsze.

Pozostaje jeszcze odpowiedź na pytanie: czy spowiednik może pozwolić penitentowi, żeby dla dokonania restytucji użył kwot sobie nieprawnie przywłaszczonych na restaurację swego kościoła parafjalnego? Pozwolenie to nie może odnosić się do tych kwot wszystkich. 1) Penitent powinien odprawić jak najprędzej wszystkie msze, na które otrzymał stypendja. 2) Obowiązany jest do restytucji z powodu, że żądał wyższych stypendjów przy ślubach i pogrzebach, niż mu się należały i że odstępując stypendja innym, zatrzymywał sobie pewną część pieniędzy otrzymanych: nie potrzebuje zaś w tych wypadkach odprawiać dodatkowo żadnej mszy, ponieważ odprawił tyle, ile zobowiązał się odprawić. Mógłby jednak zajść i taki wypadek, że oddanie pieniędzy, poszkodowanym byłoby niemożliwe z powodu, że nie dadzą się już odszukać, albo że dokonanie restytucji zaszkodziłoby dobrej sławie kapłana: w takim razie wolnoby mu było przeznaczyć kwoty należne tytułem restytucji dla ubogich albo na inny cel dobry, a więc też na restaurację jego kościoła. (Według art. O. dra H. Jone O. M. Cap. w Theol.-Prakt. Quartalschrift z r. b. str. 125 nn.)

[1]) Por. co o tem pisze dr. W. Grosam w art. p. n. „Binations-Stipendium“ w „Theol. prakt. Quartalschrift“ z r. 1929 na str. 777.

Powszechny Związek Kapłański Przyjaciół Najśw. Serca P. Jezusa.

(Praktyczne wskazówki).

Początek: — Powszechny Związek Kapłański Przyjaciół Serca P. Jezusa powstał w zaciszu pewnego klasztoru po długich latach dojrzewania na modlitwie.

Pierwsze natchnienie o nim miała M. Luiza Małgorzata Claret de la Touche; O. Alfred Charrier T. J. był jego duszą; Najprzew. X. Bp. Mateusz Filippello wprowadził go w życie.

Związek ma charakter czysto duchowny i wywiera błogosławiony wpływ na całe życie kapłana, potęgując w nim miłość do Najśw. Serca i do dusz.

Nie utożsamia się z innemi związkami kapłańskiemi już istniejącemi (XX. adoratorów, Unji Apostolskiej, Ligi Kapłańskiej Świętości i t. p.) i nie wchodzi zupełnie w ich zakres działania, raczej zapala nowy ogień, daje nowe światło, wprowadza nowy tlen.

Cel: — Związek zdąża ku temu, by zjednoczyć kapłanów katolickich całego świata wszelkiej narodowości i obrządku, w studjowaniu i naśladowaniu Przen. Serca P. Jezusa, żeby oni poznawali w całym rozmiarze naukę Boga Nieskończonej Miłości, żeby według niej żyli i żeby innym pomagali tę naukę poznawać i według niej żyć. Odnowienie świata przez miłość przy współudziale kapłanów, oto cel Związku.

Członkowie: — Każdy kapłan, który chce żyć wedle tej nauki i w tym duchu, tem samem należy już do Związku Kapłańskiego Najśw. Serca P. Jezusa: pozostaje mu tylko wpisać się do niego, by przez to ułatwić rozpowszechnienie tego samego ducha i tych samych wspólnych dążeń.

Związek zwraca się w pierwszej linji i bezpośrednio do kleru świeckiego. Nie wyklucza jednak i kleru zakonnego, który może indywidualnie brać w nim udział. Związek nie może być agregowany do żadnego zakonu ani zgromadzenia.

Zapisuje się do Związku, kto się zdecydował żyć jego duchem i poznał już dostatecznie jego zasady. Prośbę o wpisanie wysyła się do Rady Diecezjalnej. Dopóki niema jeszcze ustanowionej oficjalnie sekcji diecezjalnej, należy wysłać prośbę do Sekretarjatu Związku.

Każdy członek spełnia oddania się Nieskończonej Miłości a kopję tego aktu posyła do Zarządu Diecezjalnego lub generalnego z datą i podpisem.

Sekcje diecezjalne: — Do założenia sekcji diecezjalnej trzeba:

1. Żeby ci, którzy w skład jej wejść mają, należeli już do Związku.

2. Żeby Ordynarjusz aprobował Związek w swej diecezji.

3. Wnieść prośbę do Centrali w Ivrei i otrzymać zezwolenie; a to zawsze będzie dane, kiedy są dwa pierwsze warunki.

Uwaga: — Nie trzeba śpieszyć się z tworzeniem sekcyj diecezjalnych, lecz pracować nad przysposobieniem dobrego materjału. Sekcja może pracować skutecznie i wywierać wpływ tylko w miarę przysposobienia swych członków

Matka Luiza Małgorzata Claret de la Touche.

„Po Komunji św. powiedziałam do Jezusa: „Zbawicielu mój, kiedy nasza błogosławiona siostra (Św. Małgorzata M. Alacoque) pokazała światu Twe Boskie Serce, Twoi kapłani też go widzieli; czyż może to nie wystarcza? P. Jezus odrzekł: „Teraz chciałbym im dać szczególne objawienie“. Następnie dał mi poznać, że pragnie pewnego dzieła, a tem jest ponowne rozniecenie miłości, do którego chce użyć swoich Kapłanów.

Słowa te napisała 10 czerwca 1902 r. zakonnica Zgrom. Wizytek, Siostra Luiza Małgorzata Claret de la Touche. To imię zdaje się zapowiadać nam początek ogromnego ruchu religijnego, który będzie uzupełnieniem rozpoczętego przez objawienie Św. Małgorzaty Marji w XVII wieku.

Małgorzata Claret de la Touche urodziła się w Saint Germain en Laye, koło Paryża, 15 marca 1868. Po śmierci swego ojca w r. 1885, przeniosła się z matką do Walencji (w Delfinacie-Francja). Tam przyjęła pierwszą Komunję św. Wskutek ciężkiej choroby, z której cudem prawie została uzdrowiona, miała zdrowie nadwątlone i delikatne przez całe życie. Lecz dusza jej prosta, czysta i męska ożywiona była życiem wewnętrznem niezwykłem. P. Jezus przemawiał do niej, kiedy była jeszcze dzieckiem i ona poświęca Mu swoje dziewictwo. Żywot św Alojzego Gonzagi, który opatrznościowo dostał się w jej ręce, był dla niej okazją odnowienia się w pobożności, osłabionej wskutek pewnego ciężkiego cierpienia wewnętrznego. Zwalczając różnego rodzaju trudności, wstępuje do Wizytek 20 listopada 1890.

Młoda zakonnica bardzo wcześnie wstępuje na drogi mistycznej kontemplacji i czyni na niej ciągłe postępy. Z posłuszeństwa dla swych przełożonych i dla swego przewodnika Ojca A Charrier zapisuje otrzymywane na modlitwie oświecenia.

Dnia 6 czerwca 1902, klęcząc przed Najśw. Sakramentem, prosiła Pana o nowe powołania do nowicjatu, którego była mistrzynią. W odpowiedzi na to rzekł jej Boski Zbawiciel: „Dam ci dusze mężczyzn“. Z wielkiem zdziwieniem słuchała tych słów, a P. Jezus dodał: „Dam ci dusze kapłanów“. Wtedy spytała Go: „Jezu, jakżeż to uczynisz?“ A Pan Jezus odrzekł: „Ty się poświęcisz za kapłanów; chcę cię o tem pouczyć w czasie tej oktawy, pisz wszystko, co ci powiem“. Następnego dnia dodał: „Małgorzata Marja pokazała Moje Serce światu, ty pokaż je Moim kapłanom; pociągnij ich wszystkich do Mojego Serca“

W r. 1906 wypędzona z Francji z całem Zgromadzeniem, znalazła przytułek we Włoszech niedaleko Turynu. W r. 1907 wybrano ją przełożoną. Niedługo potem przeniosła się z siostrami do Marze w diecezji Iyrei. W maju 1913 r., ukończywszy sześciolecie przełożeństwa, za poradą poważnych osób i na prośbę biskupa zakłada Zgromadzenie, które później przybrało imię „Betanja Najśw. Serca Jezusowego“. Bóg jednakże nie dozwolił wiernej Swej służebnicy cieszyć się na ziemi spełnieniem swych pragnień, umarła bowiem w rok po otwarciu domu 14 maja 1915 r. w Vische Canovese, w 47 roku życia, przejęła niezwykłem uczuciem ufności i oddania się Bogu.

Środki do poznania Związku: modlitwa i rozmyślanie. Rozczytywanie się w wydawnictwach Związku, a szczególnie w pismach M. Luizy Małgorzaty. (Najśw. Serce Jezusowe i Kapłaństwo — Na usługach Kapłaństwa, 2 tomy. — Broszury, odnoszące się do Związku: Początek, duch, organizacja Związku. Rozważania dotyczące Związku: — Organ Związku: „Fraternitas“ i inne. Pisma te wyszły dotąd tylko w językach franc. i włoskim).

Informować się u tych, którzy zostają w bliższych stosunkach ze Związkiem.

Uwaga: Członkom Związku pozostawiona jest wolność obrania sobie metody ascetycznej, jaką będą uważali za odpowiedniejszą dla siebie (a więc wstąpienie do III Zakonu, czy Stowarzyszenia kapłańskiego).

(„Fraternitas“ z Grudnia 1926). „Matka Luiza“.

Curiosum.

W roku ubiegłym poczęła wychodzić w Warszawie „Ilustrowana Encyklopedja Katolicka“. Nie jest to wprawdzie „encyklopedja“, ale zbiór popularnych broszurek na różne tematy, mniej lub więcej związane z życiem religijnem i kościelnem W dodatku zaznaczyć trzeba, że układ tych wydawnictw jest bezplanowy (jako pierwszy zeszyt wyszła publikacja p. t. „Watykan“). Cena wydawnictwa stosunkowo wysoka: pojedynczy zeszyt (wcale skromny) kosztuje 4 50 zł. Ale mniejsza z tem. Chodzi nam tu o co innego.

Wydawnictwo „Il. Encykl. Kat.“ rozesłało księżom numery okazowe, zawiadamiając, że wszystkich, którzy nie zwrócą zeszytów, wpisuje się na listę prenumeratorów, obecnie zaś listem adwokackim żąda się prenumeraty, grożąc skutkami prawnemi.

Tu tkwi „curiosum“. Do księży nadchodzi tak wielka masa różnych odezw, próbek, numerów okazowych, że, chcąc to wszystko przeglądnąć i załatwić, należałoby trzymać osobnego sekretarza. Nikt z nas nie jest obowiązany numerów okazowych czytać, wielu więc nawet nie wiedziało, że w przesyłce jest ze strony wydawnictwa tego rodzaju „sprytne“ zastrzeżenie. Nie znamy też przepisu prawnego, któryby pozwalał wydawnictwu na tego rodzaju wymuszenie. *X. B.*

Nekrologja.

Ś. p. O. Jan Nikiel, kapłan i misjonarz Towarzystwa Jezusowego.

Dnia 5 lutego b. r. zmarł ś. p. O. Jan Nikiel w Rudzie Śląskiej na atak sercowy. Przeżywszy życia lat 57, powołania zakonnego 39 i kapłaństwa 28. Ś. p O. Nikiel znany był w całej Polsce jako wybitny misjonarz, kaznodzieja i gorliwy pracownik na niwie Pańskiej.

Zjednywał sobie serca wszystkich, z którymi się zetknął darem swej prostoty i niezwykłej dobroci serca. R i p.

Sprawy religijne.

O wpływ na szkołę. W dniach 23 i 24 lutego b r odbył się w Warszawie walny zjazd przedstawicieli związków komunalnych. Zjazd ten odbywał się pod zupełną przewagą obozu rządowego, połowę bowiem delegatów stanowili starostowie, którzy umieli sobie odpo-

wiednio dobrać resztę delegatów, zwłaszcza z Małopolski i kresów, gdzie niema samorządu powiatowego, pochodzącego z wyborów. Na zjeździe tym, między innemi, omawiano sprawę szkolnictwa powszechnego, domagając się zniesienia oddzielnego samorządu szkolnego i przeniesienia jego uprawnień na samorząd terytorjalny. Mianowicie przy samorządzie terytorjalnym miałyby istnieć osobne wydziały szkolne z obowiązkowym udziałem inspektorów i nauczycieli. Pozornie wszystko ładnie (inna rzecz, czy ze stanowiska państwowego oddawanie szkolnictwa samorządom terytorjalnym byłoby rzeczą dobrą), ale projekt ten pozbawia wpływu na szkolnictwo przedstawicieli wyznań, a więc w ogromnej większości duchowieństwa katolickiego. Okazało się to wyraźnie, gdy postawiony dodatkowo przez opozycję wniosek o powołanie do tych „wydziałów szkolnych" przedstawicieli wyznań — upadł znaczną większością głosów. „Gazeta Warszawska", donosząc o tym fakcie, nazywa to słusznie wprowadzaniem postulatów „świeckiej" szkoły „tylnemi drzwiami".

Znamienna uchwała. Polska Młodzież Akademicka zebrana w dniu 25 lutego na wiecu ogólno-akademickim we Lwowie stwierdza, że religja rzymsko-katolicka jest dla narodu polskiego a w szczególności dla jego młodego, oświeconego pokolenia największą świętością i dobrem, że należyty wpływ jej na życie publiczne i prywatne społeczeństwa, a Kościoła na wychowanie młodego pokolenia jest koniecznym warunkiem siły, zdrowia i tężyzny duchowej i moralnej narodu a przezeń i Państwa polskiego, że dążności te, a w szczególności szerzenie agnostycyzmu i demoralizacji godzą w najżywotniejsze, gdyż w duchowe wartości narodu i są całkowicie sprzeczne z obowiązkami i zadaniami Państwa, nietylko oficjalnie ale i z przekonań i woli narodu — katolickiego.

Polska Młodzież Akademicka protestuje przeciw tym dążnościom i zapowiada bezwzględną walkę w obronie wpływu i stanowiska religji i Kościoła rzymsko-katolickiego w Państwie Polskiem, wzywając całe, nieskorumpowane polskie społeczeństwo, a w szczególności jego młode pokolenie wszystkich warstw i zawodów do jak najenergiczniejszego a zwłaszcza odważnego współdziałania.

Skazanie agitatora antyreligijnego. W sądzie okręgowym w Warszawie odbył się proces Kazimierza Mieczkowskiego, redaktora odpowiedzialnego tygodnika wolnomyślicieli p. t. „Myśl", oskarżonego o to, że dopuścił do zamieszczenia w redagowanym przez się tygodniku artykułu: „Młodzież uczniowska o sobie", będącego rzekomo listem ucznia szkoły średniej w Radomiu.

Autor listu stara się obniżyć w oczach czytelników powagę Kościoła katolickiego, jadem zatrute argumenty kieruje przeciw religji, księżom a wreszcie żali się na brak swobody i krępowanie młodzieży szkolnej siłą narzucanemi poglądami. Numer tygodnika, w którym był zamieszczony destruktywny artykuł skonfiskowano, a redaktora pociągnięto do odpowiedzialności za zelżenie Kościoła katolickiego. Mieczkowski do winy się nie przyznał, utrzymując, że w artykule inkryminowanym brak cech przestępstwa. Prokurator, popierając oskarżenie, wskazał na niebezpieczeństwo, jakie grozi społeczeństwu z powodu wystąpień tego rodzaju i wnosił o przykładne ukaranie oskarżonego. Sąd okręgowy skazał Mieczkowskiego na rok twierdzy. Skazanego natychmiast po odczytaniu wyroku aresztowano.

Zgon kardynała Merry del Val. Dnia 26 lutego b. r. zmarł w Rzymie b. sekretarz stanu Merry de Val.

Kard. Merry del Val pochodził z arystokratycznej rodziny hiszpańskiej. Urodził się w Londynie w r. 1865, jako syn dyplomaty hiszpańskiego. Jako młody ksiądz skończył akademję Dei Nobili Ecclesiastici w Rzymie, znaną pepinierę dyplomatów watykańskich. Już w 30-tym roku życia pełnił służbę dyplomatyczną, w 35-tym został arcybiskupem tytularnym Nicei, w r. 1901 reprezentował Papieża przy koronacji króla angielskiego Edwarda VII. Po zgonie Leona XIII został mianowanym sekretarzem konklawe i św. Kolegjum i na tem ważnem, politycznem stanowisku poznał i polubił go patrjarcha wenecki, który wówczas uzyskał tiarę pod imieniem Piusa X. Nowy papież pozostawił 38-letniemu prałatowi na stałe kierownictwo dyplomacją Kościoła, najpierw w charakterze prosekretarza, a następnie kardynała sekretarza stanu. Mianowany kardynałem w r. 1903 był Merry del Val przez długi czas najmłodszym członkiem św. Kolegjum i równocześnie — przez całe 11 lat pontyfikatu Piusa X — najwpływowszą osobistością w Watykanie. Dodajmy, że w jego osobie po raz pierwszy od niepamiętnych lat sekretarjat stanu objął nie-Włoch.

Darzony zupełnem zaufaniem Piusa X Merry de. Val kierował polityką Stolicy św. niemal samodzielnie. Od r. 1914, t. j. od zgonu swego protektora papieża Piusa X, kardynał ten nie odgrywał już roli politycznej w Watykanie, należał jednak do najwybitniejszych i najpopularniejszych kardynałów Kurji rzymskiej, a zajmując wysokie reprezentatywne stanowisko archiprezbitera kapituły watykańskiej, występował publicznie w ostatnich czasach dosyć często.

Charakterystyczny głos. W rosyjskim dzienniku emigracyjnym „Za Swobodu" czytamy:

„W ciężkie dni — które przeżywa umęczona ojczyzna, kiedy się widzi tylko obojętność, a nawet radość z naszego nieszczęścia ze strony, z której ongiś spotykaliśmy się z potępieniem i nieprzyjaźnią, z tej właśnie strony rozległ się potężny głos braterskiej miłości i prawdziwego miłosierdzia chrześcijańskiego. Głos ten rozległ się z wysokości Stolicy papieskiej. Papież Pius XI przemówił, jako mający władzę, wypowiedział takie słowa, jakich się nie słyszało od chwili rozdziału Kościołów. Czyż to nie radość? Czyż to nie wielka, promienista radość?... W naszych cerkwiach zawsze się modlono o połączenie wszystkich. I oto po wiekowych niesnaskach pierwsze błyski jedności. Radość nasza jest zasmucona, gdyż wolni, poza granicami ojczyzny, wyżsi przedstawiciele Cerkwi ani jednem słowem podziękowania i wdzięczności nie odpowiedzieli na szlachetne orędzie wielkiego Papieża. Radość nasza zasmucona jest tem, że, modląc się w cerkwiach o zjednoczenie wszystkich, ci ludzie nie czynią ani jednego wysiłku, aby ta jedność mogła się urzeczywistnić. Zasmucona jest nasza słoneczna radość".

Współpraca wolnomyślicieli z sekciarzami. Współdziałanie przedstawicieli obozu sekciarskiego z ośrodkami propagandy wolnomyślicielskiej nazewnątrz przejawiało się dotychczas w formie współpracy na łamach perjodycznych pism wolnomyślicielskich. Tak np. sztandarowy publicysta protestancki p. Hulka-Laskowski pomieszczał stale swe artykuły w organie Polskiego Związku Myśli Wolnej — „Życie Wolne".

Współpraca ta przybrała ostatnio formy ściślejsze, organizacyjne. Z inicjatywy mianowicie eks-hodurowca Marjana Piechocińskiego, zmarłego niedawno, przedstawiciela kierunku protestanckiego w „kościele narodowym", powstał „komitet wolności sumienia", w skład którego wchodzą przedstawiciele sekt i organizacyj wolnomyślicielskich. „Komitet wolności sumienia" posiada siedzibę

w Warszawie i zrzesza wolnomyślicieli umiarkowanych i „proletarjackich", adwentystów, baptystów, metodystów i hodurowców. (KAP).

Rozkład moralny protestantyzmu amerykańskiego. Problem religijny zaciekawia pewne koła ludności Stanów Zjednocz. Niema miesiąca, by jakieś towarzystwo albo jakiś przegląd prasowy nie ogłosił ankiety o stanie sekt tego kraju Pastorzy skarżą się publicznie na apatję swoich wiernych i na przerażający wzrost liczby protestantów, świadomych istotnego stanu rzeczy i pragnących znaleźć nań lekarstwo. Niedawno przeprowadzono ankietę i opublikowano jej rezultaty.

Z pośród 200.000 kościołów ewangelickich w Stanach Zjednocz. około 60-ciu tysięcy jest „martwych", to znaczy takich, które w ciągu jednego roku nie ujawniły żadnego postępu i nie przyniosły żadnej korzyści. Z liczby tej 7 do 8-miu tysięcy jest zupełnie opuszczonych i zagrażających ruiną.

Przyczyną takiego zaniedbania tysięcy kościołów bynajmniej nie jest brak środków pieniężnych, ponieważ niektóre zjednoczone sekty są bogatsze od najsłynniejszych multimiljonerów W r. 1928 zebrały one i wydały 600 miljonów dolarów w samych tylko Stanach Zjednoczonych.

Czemu więc przypisać tę obojętność mas protestanckich na sprawy religijne? Autorzy ankiety przypisują tę klęskę zbytniemu zaabsorbowaniu się ludzi kinematografem, teatrem, radjokoncertami, automobilizmem i innemi formami rozrywek i sportu. Innemi słowy religja protestancka ujawnia zbyt małą siłę atrakcyjną wobec swoich zwolenników. Niemałą winę tego opustoszenia świątyń ponoszą sami pastorzy. Z kazalnic mówią oni o wszystkiem z wyjątkiem Boga. Ulubionemi tematami ich kazań są problemy historyczne, literackie, polityczne, socjologiczne, ekonomiczne, a rzadko kiedy kwestja nieśmiertelności duszy lub sprawy moralności.

Smutna jest statystyka rozwodów wśród protestantów amerykańskich. W r. 1928 zarejestrowano w Stanach Zjednocz. 1,182.497 małżeństw, o 18.556 mniej niż w r. 1927, a tymczasem liczba rozwodów zwiększyła się o dwa na sto. W roku tym osiągnęła ona olbrzymią cyfrę 195.939. W r. 1887 jeden rozwód przypadał na 17 małżeństw, w r. 1906 — jeden na 12, a w r. 1928 jeden na 6. W tej smutnej statystyce przoduje stan Nevada, gdzie jeden rozwód przypada na dwa małżeństwa. Walkę z tym rakiem społecznym Kościół katolicki prowadzi prawie sam jeden. Pastorzy protestanccy zamiast przeciwdziałać złu jeszcze je wzmagają, ponieważ udzielają małżeństw osobom rozwiedzionym i sami się rozwodzą.

Niedawno w kilku dziennikach amerykańskich zostały ogłoszone rezultaty innej ankiety o sytuacji kościołów protestanckich w Stanach Zjednoczonych. Przeprowadziło ją w 50 miastach Unji stowarzyszenie protestanckie „Council of Church Development". Sekretarz generalny tego stowarzyszenia i inicjator ankiety, Brason, oświadczył szczerze, że sekty straciły wszelki wpływ na swych zwolenników, ponieważ nie dają im żadnej atrakcji, żadnego namacalnego zysku. Zdaniem Brasona, kościoły ewangelickie nie odpowiadają już wymaganiom nowożytnych czasów i jeżeli chcą żyć, muszą jak najprędzej zmienić taktykę.

A tymczasem Kościół katolicki w Stanach Zjedn. czyni stale postępy powolne, ale pewne W czasopiśmie „Scriber's Magazine" protestant Karol H. Perry tę żywotność katolicyzmu tłumaczy wpływem Eucharystji św.:

„Kościoły protestanckie" — pisze on — „świecą pustkami, a tymczasem świątynie katolickie są pełne wiernych. Dzieje się to dlatego, że katolicy w świątyniach swoich znajdują Boga, a protestanci tylko kaznodziejów. Katolicy żywo odczuwają rzeczywistą choć niewidzialną obecność Bożą. Zasada świętości u katolików znajduje swój wyraz w Sakramencie Ołtarza. Bóg protestantów natomiast jest martwy, jak martwą jest historja starożytna, jak martwym jest każdy system, opierający się na pewnikach filozoficznych". (KAP).

Światowa statystyka katolickiego kleru. Katolicki Kościół posiada, przy okrągłych obliczeniach, na 300 miljonów wiernych w całym świecie, około 300 tysięcy kapłanów, tak iż na tysiąc wiernych przypada przeciętnie jeden kapłan.

Rozmieszczenie jednak kleru jest bardzo nierównomierne i obok krajów posiadających duchowieństwo stosunkowo liczne spotykamy inne, w którym brak kapłanów jest ogromnie dotkliwy.

Tak np. w Hiszpanji na 21 miljonów katolików przypada mniej więcej 50 tysięcy księży, czyli jeden kapłan wypada na 420 wiernych. W Anglji jeden kapłan przypada na 771 wiernych. W Holandji na $2^1/_2$ miljona katolików przypada 5 tysięcy kapłanów, czyli jeden kapłan na 500 wiernych. W Belgji na ogólną liczbę 7 miljonów 350 tysięcy katolików przypada 6.030 księży świeckich i 9.858 księży zakonnych, czyli jeden kapłan świecki na 1.210 wiernych. We Francji parafje są naogół drobne, więc chociaż 5.600 parafij jest nieobsadzonych, mimo to ilość duchowieństwa jest stosunkowo niemała, gdyż jeden kapłan przypada na 1.026 wiernych. W Niemczech północ. na jednego kapłana przypada 1.543 wiernych, zaś w południowych 1.005 wiernych. W statystyce tej nie uwzględnia się kleru zakonnego.

W Stanach Zjedn. żyło w r. 1927—25.723 księży, czyli jeden przypadał na 764 wiernych. W Australji na półtora miljona katolików przypada przeszło 1.400 księży, czyli jeden na tysiąc wiernych.

Statystyka powyższa nie daje oczywiście pełnego obrazu, gdyż nie uwzględnia różnicy między wsią a miastem. Naogół we wszystkich miastach, zwłaszcza ludniejszych, brak duchowieństwa jest znacznie dotkliwszy i często jeden kapłan przypada na 4, 6 a nawet i 10 tysięcy wiernych; tak jest naprzykład w Niemczech i w Austrji.

Daleko gorzej przedstawiają się stosunki w pozostałych częściach świata.

Tak np. w środkowej Ameryce na pięć środkowo-amerykańskich republik przypadało w r. 1925 na 5 milj. katolików tylko 462 kapłanów, czyli jeden kapłan na 10 tysięcy wiernych. W całej Gwatemali trzykroć obszarowo większej od Holandji znajdowało się tylko 62 kapłanów. W Brazylji na 36 milj. katolików przypada tylko 3 tysiące kapłanów, czyli jeden na 12 tys. wiernych. W Chile istnieją parafje z 15 tys. wiernych, rozrzuconych na obszarze 50 km^2. Tak więc podczas gdy w południowej Ameryce na jednego kapłana-Hiszpana przypada obszar 1.636 km^2, to w Hiszpanji zaledwie 18 km^2!

W misjach azjatyckich (6 milj. 687 tys. 829 wiernych) przypada jeden kapłan na 130 wiernych; w misjach afrykańskich jeden na 960; w australskich i polinezyjskich, jeden na 1.228. Obliczenia w przybliżeniu.

W Chinach jeden kapłan przypada na 770 wiernych; w Indjach, jeden na tysiąc.

Oczywiście nie uwzględnia statystyka powyższa olbrzymich obszarów, na których ci wierni są rozsiani. Warto przytem zauważyć, iż kapłani misyjni mają nietylko obsłużyć wiernych, ale nadto nawrócić miljard 400 tysięcy pogan! („Sodalis Marianus").

Z piśmiennictwa.

Boy-Żeleński: „Plotki, plotki"... Warszawa. Instytut wydawniczy „Bibljoteka Polska" (stron 208 w 8-ce bez daty, ale książka wyszła w r 1929).

Jest to zbiór artykułów krótkich, różnej treści, drukowanych poprzednio w czasopismach. Treść niektórych jest niemoralna (jak np. opowiadania o „Prawdziwej Ninon de Lanclos", str. 32 nn.) W innych broni autor swych znanych tendencyj antyreligijnych, jak w art. p. n. „Balzac i moralność" (str. 198 nn.) i „Prawdziwy katolik"?? (str. 97 nn.). W tym drugim polemizuje z art. p. n. „Tłumacz-deprawator", zamieszczonym w warszawskim „Przeglądzie Katolickim" z podpisem „Verus catholicus", a zarazem z Indeksem książek zakazanych. Według niego B a l z a c, który w tak gorszący sposób maluje rozpasane namiętności ludzkie, nie hamowane wcale religją i sumieniem, nie powinien być na Indeksie, bo „on był przez cały ciąg swej działalności reakcjonistą, absolutystą, a zwłaszcza k a t o l i k i e m" (?!). Zapewnia wprawdzie ten autor w przedmowie do „Komedji ludzkiej", że „pisze przy blasku dwóch wiekuistych prawd: religji i monarchji" i t. d. — ale sam Boy przyznaje w art. „Balzac i moralność", że jest to katolicyzm dość dziwnego autoramentu i że można „zrozumieć tych, którzy zachowują niejaki s c e p t y c y z m w o b e c z a p e w n i e ń Balzaka, iż pisał Komedję ludzką przy blasku tronu i religji" (str. 202). „Kiedy np. Balzac maluje szlachetnego generała de Montriveau („Księżna de Langeais"), z którym najwyraźniej sympatyzuje, któremu daje własne rysy i którego robi bohaterem przejrzyście odmalowanej własnej przygody miłosnej, kiedy tego generała czyni, jako członka szajki „Trzynastu" wspólnikiem zbrodni Ferragusa i bezliku innych zbrodni, indywidualistą gotowym świat spalić dla własnego szczęścia lub własnej zemsty, a równocześnie czyni go przedmiotem zasłużonego szacunku, k a t o l i k i e m i r o j a l i s t ą, t r z e b a b y s i ę c h w y c i ć z a g ł o w ę, o i l e n i e w o l i m y s i ę u ś m i e c h n ą ć" (! str. 200). Jest tu oczywista sprzeczność z tem, co autor powiedział poprzednio.

Na str. 120 cytuje z upodobaniem słowa Abla Hermanta o p e d e r a s t j i: „Szczera i prawdziwa miłość między ludźmi dojrzałymi i dorosłymi, b e z w z g l ę d u n a t o, d o j a k i e j p ł c i n a l e ż ą i c z y d z i a ł a o n a d u c h o w o c z y c i e l e ś n i e, zawsze okazuje się k o r z y s t n ą i t w ó r c z ą" (!). Komentarz zbyteczny. *X. A. P.*

Tomasz Mann: Tonio Kröger. Przełożył Leo Belmont. Warszawa 1923

Powieść autobiograficzna (Mann, laureat Nobla, urodził się w r. 1875). Przeważa u niego liryka i analiza psychologiczna. Dużo ciekawych refleksyj; tak np. wyraża się pesymistycznie o artystach i ich moralności: „Widziałem artystów, o których marzyła radośnie młodzież męska i żeńska, podczas gdy ja o nich w i e d z i a ł e m" (str 58). Ale niektóre zdania jego są bardzo dziwne, kiedy np. mówi o „godnej uwielbienia literaturze r o s y j s k i e j, która bodaj reprezentuje najbardziej w Europie literaturę ś w i ę t ą" (! str 59). „Wszelkie poznanie jest stare i nudne" (61). O pierwszych chrześcijanach mówi, że byli to ludzie „o ciałach niezgrabnych i duszach delikatnych, które zawsze — że tak powiem — padają" (?! str. 66).

Nowela jego „D e r T o d i n V e n e d i g" czyni wrażenie bardzo przykre. Poważny pisarz-myśliciel Aschenbach, starzejący się już, przyjeżdża do Wenecji i tam zakochuje się w bardzo pięknym chłopcu czternastoletnim, P o l a k u, imieniem Tadzio. Przygląda mu się ciągle z zachwytem, gdy ten bawi się i kąpie na Lido, ale nie ma odwagi zbliżyć się do niego i jego rodziny (po polsku nie umie, lecz mógłby z nią mówić po francusku). Pozwala się fryzjerowi „odmłodzić", poczernić sobie włosy, wygładzić oblicze i t. d., żeby mógł pozyskać sobie miłość chłopca, lecz nagle umiera, o czem świat dowiaduje się „z żalem pełnym respektu" — i koniec powieści.

W opowiadaniu tem i innych nam znanych (n i e z n a m y j e s z c z e u t w o r u: „Der Zauberberg", który ma być najlepszem dziełem Manna) napotykamy mnóstwo szczegółów drobiazgowych i nużących czytelnika: o ubieraniu się, o spożywaniu śniadania i wieczornego obiadu (do którego w hotelach eleganckich zasiada się w szatach wytworniejszych), o przejażdżkach, o zmianach powietrza i t. d., ale są też wspaniałe obrazy z przyrody, w których przebija się talent bardzo wybitny.

Wysłowienie jego jest często bardzo wytworne i piękne, ale niełatwo zrozumiałe nawet dla dobrze znających język niemiecki.

Jego powieść p. n. „J e g o k r ó l e w s k a W y s o k o ś ć" (przełożona już także na język polski) należy do lepszych jego dzieł i obszerniejszych; ale są w niej ustępy rozwlekłe, pełne szczegółów drobiazgowych i dlatego nużące czytelnika. Niema w niej jednak scen obrażających moralność. *X. A. P.*

Stanisław Wasylewski: Bardzo przyjemne miasto. Poznań. Wydawnictwo Polskie. R. Wegner. Str. 283.

Ostatnia książka Wasylewskiego, to tylko nowe (rozszerzone dwoma obrazami) wydanie „Historyj lwowskich" z r. 1921.

Najlepszą recenzję napisał sobie sam autor w przedmowie:

„Tytuł tej książki w poprzedniej fazie jej istnienia nie był właściwy. Nazwano ją „Historjami lwowskiemi". Chyba niesłusznie, bo nie z samego szperactwa poczęła się.

Składałem obrazki niniejsze żwawiej może, niż kiedy indziej i jaśniej, bo wiodło mnie za sobą światełko, które każdemu z nas jest najdroższe: poszept domowej powieści. Więc ze słuchu. I z radością.

Nie można przecież pisać bez radości o mieście, które nigdy nie umiało płakać. Pisałem też, myśląc trochę o rodakach z innych dzielnic przypuszczających jakże często, że Lwów urodził się wczoraj rano.

Zresztą powtarzam: Jeśli nadmiernym wyda się czytelnikowi entuzjazm schowany wśród uśmiechniętych słów, raczy usprawiedliwić autora. Bo pisano tę książkę z uczuciem — synowskiem".

Cóż do tych słów dodać?

Chyba zaznaczyć tylko, o czem książka opowiada? O stosunkach i ludziach we Lwowie od chwili zaboru po r. 63. A więc o epoce stosunkowo mało opracowanej (dla Lwowa) w literaturze. Że autor umie szperać w aktach, pamiętnikach, sztambuchach i że umie z drobnych szczegółików i charakterystycznych anegdot układać ciekawe obrazki, o tem wie każdy, kto choć jedną książkę Wasylewskiego przeczytał [1]). *X. F. B.*

F. A. Ossendowski: Mali zwycięzcy. Powieść. Książnica-Atlas. Lwów 1930. Str. 184. Cena 5·80 zł.

Głośny autor w ostatnich czasach talent swój i wiedzę zużytkowuje do pisania książek dla młodzieży. Trzeba mu to uznać za wielką zasługę. Omawiana tu książka, to przygody trojga dzieci polskich, rzuconych losem (wskutek ostatnich wypadków w Chinach) na pustynię Szamo. Opowiadanie żywe, przygody niecodzienne, a zwłaszcza dokładna znajomość u autora

[1]) Naturalnie nie każdą z nich można ze stanowiska naszego przyjąć tak bez zastrzeżeń, jak ostatnią.

terenu i przyrody, wśród których rozgrywa się akcja, sprawiają, że książkę czyta się bardzo zajmująco i z pożytkiem. Naturalnie, nie dorównuje ona sienkiewiczowskiej „W pustyni i w puszczy“, przewyższa jednak dziesiątki książek innych tego rodzaju. Słabą stroną tej powieści, to łatwość, z jaką wyprowadza autor małych bohaterów z najtrudniejszych sytuacyj. Sam autor, zdaje się, czuje to dobrze, bo w bardzo zręczny sposób usprawiedliwił się z tego: po szczęśliwem zakończeniu awanturniczych przejść kazał dzieciom podziękować za miłosierdzie i widoczną opiekę Bożą nad niemi. *X. F. B*

Helmut Fahsel: „Ehe, Liebe und Sexualproplem“, 1928. Herder, in 8° mai., stron 142.

Książki tej nie powinna „Gazeta Kośc.“ pominąć milczeniem i ze względu na osobę autora i ze względu na treść, chociaż nie jest ostatnią nowością z półek księgarskich.

Autor (urodz. w r. 1891 w Kiel) był z zawodu księgarzem, ale niezadowolony wewnętrznie oddał się studjom filozoficznym, ulegając wybitnie wpływom Schopenhauera. Trwało to jednak niedługo. Dzieła św. Tomasza z Akwinu czynią go konwertytą i kapłanem katolickim.

Odtąd staje się głosicielem prawdy ewangelicznej wobec szerokich sfer nowoczesnego audytorjum, rekrutujących się w wielkiej mierze z niewierzących i innowierców (X. Fahsel mieszka obecnie w Berlinie).

Książka powyższa powstała też z serji odczytów, które X. Fahsel głosił w bardzo wielu miastach niemieckich jako cykl p. t. „Ehe und Eros“.

Wychodzi z założenia, że ksiądz katolicki może mówić (i mówić trafnie) o tej dziedzinie życia ludzkiego, bo przecież trudno jest stać na stanowisku, by o przestępcach mogli sądy wydawać tylko przestępcy, a nie sędziowie, by o dziełach sztuki trafnie wyrokować mogli jeno malarze i rzeźbiarze, a nie krytycy i t. p.

Następnie rozprowadza autor temat swój (nie w tym porządku jak w tytule), mówiąc o miłości, małżeństwie i problemie seksualnym.

Wywody swe opiera X. Fahsel na ideach przewodnich „Uczty“ Platona — nawiązując do nich ustawicznie (czasami to powracanie uporczywe do pojęć „Sympozjonu“ męczy czytelnika). Z tych idei przechodzi poprzez wywody filozoficzne do nauki katolickiej o problemie seksualnym, o małżeństwie i jego nierozerwalności, kończąc złożeniem hołdu dziewictwu.

Za dużo balastu naukowego — miejscami — ale całość jest publikacją nieprzeciętną pod względem spoistości pojęć. I warto ją przestudjować w okresie walki o prawodawstwo małżeńskie. *X. Henryk Weryński.*

Linhardt, Robert, Von Menschen und Dingen der Zeit. 1—6. Tausend. 8° (VIII u. 198 S.) Freiburg im Breisgau 1929, Herder. Kartoniert 3 M.; in Leinwand 4 M.

Linhardt, Robert, Das Leben ruft. 1—6. Tausend. 8° (VIII u. 220 S.) Freiburg im Breisgau 1929, Herder. Kartoniert 3 M.; in Leinwand 4 M

Nazwisko X. Linhardta znane już jest naszym Czytelnikom: w r 1926 oceniliśmy (na str. 370) jego krótkie, kwadransowe nauki, wydane p. n. „Feurige Wolke, Kanzelvorträge auf die Sonn- und Festtage des Kirchenjahres“ (Herder 1926, str. 128); w r. 1927 kazania p. n. „Brennender Dornbusch“ (str. 59 i 239, dwa tomy); w r.. 1928: „Das Geheimnis des Kelches. Fünfzehn Fastenbetrachtungen“ (Herder 1928). Przyznaliśmy tym utworom homiletycznym zalety niepospolite, szczególnie wymienionym na końcu. Są one przeznaczone dla inteligencji i dlatego nie można ich treści powtarzać dosłownie wobec słuchaczy niewykształconych, ale dużo dobrej zawierają treści

To samo można powiedzieć naszem zdaniem o dwóch nowych jego książkach — w tych jednak nie daje nam autor gotowych kazań, tylko refleksje głębokie, zajmujące i budujące o świecie, o życiu naszem, o Bogu i religji (ale wymiary rozdziałów są takie, że każdy dostarcza osnowy na jedną naukę). W pierwszej mówi autor o duchu czasu, o etyce indywidualnej, społecznej i gospodarczej, o zagadnieniu masy, o zanikaniu w dobie dzisiejszej wszelkiego autorytetu, o chrześcijańskiem wychowaniu narodu i t. d. W drugiej o życiu jednostki, począwszy od wieku dziecięcego, o młodzieży dojrzewającej, o znaczeniu i wartości pracy dla duszy naszej, o zagadkach i tajemnicach wiary i t. d.

Styl autora jest w wielu miejscach piękny i silne czyniący wrażenie; ale są w nim wyrażenia nowe i poniekąd trudne do zrozumienia lub przetłumaczenia nawet dla czytelników, znających dobrze język niemiecki. *X. A. P.*

Edouard Rod: „L'Inutile Efford“. („Wysiłek daremny“).

Jest to historja bardzo smutna o młodej Francuzce, opuszczonej przez kochanka, a później oskarżonej przed sądem przysięgłych w Londynie, że utopiła swoje dziecko, które wpadło do Tamizy. Skazano ją na śmierć przez powieszenie i napróżno czynią, co mogą, jej dwaj przyjaciele, przybyli z Paryża, żeby wyjednać dla niej ułaskawienie. *X. P.*

Wiadomości diecezjalne.

Archid. lwowska. Odznaczony rok. i mant.: X. Kazimierz Łoziński; exp. can.: X. Izydor Richter.

Mianowany proboszczem w Obarzańcach: X. Franciszek Diduszko, dotychczasowy kooperator w Kałuszu; katechetą w Wołosowie k. Nadwórny: X. Adolf Żołczyński, dotychczasowy kooperator w Uhnowie; sekretarzem Akcji Katol. z siedzibą we Lwowie: X. Andrzej Gromadzki, dotychcz. kooperator w Dolinie.

Przeniesieni XX. wikarjusze: Stanisław Kuchta z Mostów Wielkich do Borszczowa, Eward Godlewicz z Borszczowa do Brodów, Piotr Zawora z Brodów do Żółkwi.

Przeznaczony na posadę kooperatora w Dolinie X. Władysław Zym.

Zmarł X. Franc. Janowski, em. kat. w Nadwórnie. R. i. p.

Ogłoszono konkurs na opróżnione probostwa: św. Marji Magdaleny we Lwowie, w Uhrynowie, w Pieniakach, w Michalczu, w Tokach i w Łoszniowie.

Archid. krakowska. Zmarł X. dr. Alfons Krajewski, były proboszcz w Zatorze, ur. 1842, święc. 1865. R. i. p.

Diec. tarnowska. X. Antoni Chorążak, proboszcz w Żabnie, zamianowany dziekanem dekanatu radłowskiego; X. Jan Grochowski, adm. w Zbyszycach, instytuowany na tamtejsze probostwo; X Jan Fortuna, katecheta szkoły powsz. w Tarnowie, odznaczony exp. can.

Diec. przemyska. Przeniesieni XX.: Kazimierz Antosz, wik. z Krościenka Wyżnego do Łączek Jagiellońskich. Katecheci szkół powsz.: Franciszek Winnicki z Niżankowic do Przemyśla, Antoni Szynal z Rymanowa do Niżankowic, Karol Złotek z Brzostku do Rymanowa i Michał Stępień z Kańczugi do Brzostku.

Diec. sandomierska. Przeniesieni proboszczowie: X. Marcin Zarębowicz z Odechowa do Białaczowa, X. Józef Kownacki z Dąbrowy do Odechowa

Mianowani proboszczami: X. Wincenty Kwiatkowski w Kotuszowie, X. Aleksander Kołodziej w Janikowie.

Przeniesieni XX. wikarjusze: Gluza Bolesław z Janowca do Oleksowa, Powęska Adam z Radoszyc do parafji św. Jana w Radomiu, Tołpa Jan ze Słupi Nowej do Radoszyc i Kubkowski Jan z Wierzbicy do Suchedniowa.

X. Siwiec Wacław mianowany rektorem kościoła poklasztornego w Rytwianach.

X. Gabryszewski Bernard mianowany wik. w Obrazowie.

Zmarł X. Jan Słabek, prob. w Janikowie. R. i. p.

Odpowiedzi Redakcji. *X. K. M. w Prz.* W sprawach „Domu Księży w Truskawcu“ adresować: X. dr Józef Paluch, Lwów, pl. św. Jura 1. *X. A. T. w H.* Firmy „Praca“ bliżej nie znamy.

Wydawca: Tow. „Bibljoteka Religijna". Odpow. redaktor: X. Dr. Pechnik.

Z drukarni Tow. „Bibljoteka Religijna" pod zarządem Jana Przyszlaka — Lwów, Ormiańska 13. Tel. 24-61.